

Dariusz Karłowicz: Konfederaci z Soplicowa

Jak polski sposób życia zaprząć do budowy nowoczesnego państwa i efektywnej, podmiotowej polityki?



Jak polski sposób życia zaprząć do budowy nowoczesnego państwa i efektywnej, podmiotowej polityki?

To, że polska polityczność przemawia tak ezopową mową, iż jest w Europie nieomal niezrozumiała, jest nie tylko kwestią wyjątkowości polskiego doświadczenia historycznego (w tym zwłaszcza doświadczenia dwóch, a nie jednego totalitaryzmu) , ale i pewnej szczególnej cechy polskiego republikanizmu. Idzie o to, co Marek Cichocki nazywa polskim sposobem życia (mając na myśli kategorię filozofii politycznej) , a dokładniej tego, co stanowi polski ideał życia szczęśliwego (*vita beata polonorum*) i związanej z nim arcy-polskiej formy pulsacyjnej polityczności. Warto o tym pamiętać nie tylko ze względu na naszą sytuację w Europie, ale i na charakterystykę polityki krajowej. Trudno wątpić, że bagatelizowanie tego ideału skutkuje nieuchronną porażką, a respekt wobec tego stanu rzeczy, stanowi konieczny warunek sukcesu każdej politycznej formacji próbującej organizować polskie forum. Świadczyć mogą o tym zarówno obecne triumfy Platformy Obywatelskiej jak i kolejne porażki PiS-u.

Ideał ten – nie będzie tu żadnej niespodzianki - opisać można jako ideał życia domowego, rodzinnego i prywatnego – a więc w wielkim skrócie takiego właśnie, które sympatycy prawicy z lekceważeniem nazywają grillowaniem („Tusk wysłał Polaków na grilla”). A tak! kochamy grillować - a jeszcze lepiej „kamerować” i grillować jednocześnie. Z rodziną, w domu lub na działce, z przyjaciółmi wokół! Oto nasz Eden! (aż dziw, że kamery i rusztu nie sprzedaje się jeszcze w pakiecie!) Ale przecież nie grill stworzył obyczaj Polaków, a tylko stał się kolejną – egalitarną i demokratyczną - formą bukoliczno-ziemiańskiego ideału życia. Nie będę tego rozwijał. Dobrze znamy te rodzinno-święteczne obrazy pachnące kawą, szarlotką i

rozbrzmiewające śpiewanymi zawsze tylko do połowy drugiej zwrotki melodiami. Ich treść ogniskuje się na sprawach domu, jego rytuałów, dzieci, kręgu przyjaciół, rodziny, parafii, pracy, naszych miłości, trosk, wzruszeń, wzlotów, nieszczęść i namiętności. Nieśmiertelnym zapisem tego ideału pozostanie Pan Tadeusz, który – i tu uwaga! - jest nie tylko mistrzowskim opisem jednej z najpiękniejszych jego form, ale i jego politycznej osobliwości. Otóż – i tego właśnie nie widzą ironizujący z naszego grillowania – polski sposób życia zakłada pewien szczególny stosunek do tego, co polityczne. Sfera prywatnego życia nie jest w Polsce po prostu apolityczna, lecz – by tak rzec - ponad i zarazem międzypolityczna, a człowiek prywatny (mówię o typie idealnym) nie jest to pogardzany przez Greków *idiotes*, a więc ktoś inny i gorszy od człowieka oddającego się służbie publicznej, lecz ktoś, kto tak ułożył sprawy publiczne, że może w spokoju ducha pójść na grzyby czy zająć się gospodarstwem. Prywatni jesteśmy po i być może zanim znowu pójdziemy, by przywrócić ład na naszym forum.

W polskiej wyobraźni życie prywatne nie jest więc ani ucieczką, ani wakacjami, ani nawet miejscem niezbędnego wytchnienia od zasadniczego zajęcia, a więc pochłaniających ambicje, zapał i uwagę obowiązków publicznych. To życie prywatne jest zasadniczym celem i sensem tych działań. Hierarchia jest wyraźna. Polityka w ogóle jak i nasz udział w sprawach politycznych mają skutkować możliwością życia prywatnego. O aktywności publicznej Polacy nie myślą jako o sensownej alternatywie dla życia domowego, lecz jako o rodzaju pracy przy jego – by tak rzec - infrastrukturze (wodociągi, gaz, polityka międzynarodowa, wojsko, rząd, sądownictwo etc). Polityka nie jest żadną alternatywą – ona jest instrumentem. Jest po to by kwitł *oikos*. Mówiąc krótko polityczność jest tym, co trzeba załatwić by żyć szczęśliwie – a nie czymś, co samo w sobie daje nam szczęście. Dlatego na co dzień – poza sytuacjami wyjątkowymi – polityka nas zanedo nie

interesuje. W dobrze urządzonej Rzeczypospolitej zajmują się nią administratorzy (tak jak kanalizacją zajmują się inżynierowie wodni). Polityczne sukcesy pojęte jako cel życia, to coś w polskiej wyobraźni gruntownie niedorzecznego. To dlatego polityka i polityczna ambicja uchodzi u nas, w zdecydowanie mniejszym stopniu niż gdzie indziej, za autonomiczny obszar zrozumiałych ambicji i podziwianych sukcesów. Widać to zresztą po nie najwyższym statusie polityków i polityczności i – co się z tym łączy – dużym niezrozumieniu dla kariery i instytucji polityka zawodowego (dworak, intrygant, darmozjad). Zawodowa służba publiczna, może poza służbą u Marsa, nie jest w wysokiej cenie.

Szukając przyczyn tego stanu rzeczy trzeba by chyba wskazać na zanik ofensywnego wymiaru polskości który nastąpił gdzieś w końcu XVII wieku. Trudno dyskutować, że w wieku XVIII jest już po wszystkim i zaborcza dynamika polskości definitywnie odeszła w przeszłość. Cincinnatus przestaje być postacią paradoksalną – po odparciu zagrożenia najlepiej wrócić do domu. Polityk traci nimb wojownika i zdobywcy – stając się administratorem, a jeśli już wojownikiem, to obrońcą tego, co zagrożone. Z tych dwu typowych dla europejskich krajów o pewnej wielkości i aspiracjach: ducha bukoliczno-domowego i nazwijmy go wojenno-imperialnego zostaje tylko pierwszy – tyle, że – co bardzo ważne – nie tak po prostu i nie zupełnie prywatny.

W tym sęk. To, co prywatne, nie jest dobrem dającym szczęście bez spełnienia warunków dotyczących sfery politycznej. Pochwała życia prywatnego nie stanowi pochwały apolityczności i egoizmu. Przeciwnie! Osobliwością jest właśnie ów polityczny wymiar domowej prywatności. Z przyczyn szczególnie trudnych do pojęcia – zwłaszcza przez naszych ofensywnych sąsiadów – Polacy łaknąc nade wszystko prywatności nie potrafią zadowolić się jej najlepszą nawet formą jeśli

nie jest zbudowana na suwerennej polityczności. Na ogół raczej niechętni (niezdolni?) do sięgania po cudze grzyby, Polacy nieskłonni są oddać polityczną podmiotowość za najlepsze nawet grzybobranie. Wara! Aż korci by w tym dziwnym polskim przypadku mówić – jakkolwiek dziwnie to brzmi - o potrzebie politycznie suwerennej prywatności. Polskim czytelnikom Pana Tadeusza nie trzeba wyjaśniać, że choć grzyby wydają się obojętne na kwestie władzy, to przecież nie smakują tak samo we wszystkich księgach poematu. Dlaczego zaś polskiemu zanikowi ducha ekspansji (tak silnemu w przypadku obu sąsiadów) i uwiadomi zainteresowania politycznością dla niej samej nie towarzyszy gotowość do oddania tego, co polityczne pod cudzy zarząd – kapitan Rykow, choć życzliwy Polakom – nigdy przecież do końca nie zrozumie.

Jak to możliwe? Otóż polska polityczna wolność (pojmowana jako wolność do działania, do uczestniczenia w sprawach publicznych) ma naturę pulsacyjną. Polityczność Polaków, nasz model partycypacji w tym, co wspólne jest wybitnie zadaniowy. Potencjał politycznego zaangażowania aktualizuje się w obliczu przeszkody – niesprawiedliwości, zagrożenia dla dobrobytu lub suwerenności polskiej *beatitudo*. Po uporządkowaniu tego, co nierządne, odebraniu zagrabionego, ukaraniu zdrajców, wypędzeniu okupanta, czy przywróceniu sprawiedliwości chcemy wrócić do naszego prawdziwego życia – do domu. Dlatego najbardziej naturalną formą życia politycznego jest konfederacja, nie będąca przecież niczym innym jak aktualizacją politycznego potencjału Polaków w jakiejś konkretnej sprawie, a więc instytucją zwołaną do rozwiązania konkretnego problemu. (Podobny zadaniowy charakter mają inne tradycyjne formy politycznej partycypacji jak elekcja czy pospolite ruszenie).

Wiem – wielokrotnie o tym pisano. Biadolono. Narzekano. Ileż to ja czytałem narzekań na akcyjność Polaków, na to że wielcy w obliczu zagrożeń obojętniejemy wobec tego, co polityczne na co dzień itd., itp. Nigdy jednak te rytualne przecież w Polsce jeremiady nie wychodzą poza konkluzję, że trzeba by – bagatela - to wszystko zmienić. A jak? No tak po prostu zrobić Nowego Polaka. Takiego niemieckiego albo francuskiego najlepiej! Cóż na to można powiedzieć? Brednie i konstrukcjonizm! Znacznie bardziej interesujące wydaje się myślenie o tym, jak ten polski sposób życia zaprząć do budowy nowoczesnego państwa i efektywnej, podmiotowej polityki. Bo przecież wątpić trudno, że skutecznie (nie mówię dobrze czy źle, ale skutecznie) rządzą Polakami tylko ci, którzy rozumieją zarówno polską wizję życia szczęśliwego (z jej politycznymi osobliwościami) jak i pulsującą, konfederacyjną polityczność.

Władzę nad nami posiada ten tylko, kto gwarantując względny dostatek domu i nie naruszając poczucia politycznej suwerenności naszego grzybobrania daje nam poczucie, że nie ma powodu -mowa o ważnych powodach - by zwoływać konfederację. Bo konfederacji nie zwołuje się z błahych przyczyn. Pójdziemy gdy wyznaczony przez nas administrator rzeczy wspólnej, wzywa pomocy, dopuszcza się wołającej o pomstę do nieba niesprawiedliwości, gdy w kraju nierząd, gdy ktoś zamachnął się na naszą religię lub wolności lub gdy stało się coś strasznego innym członkom wspólnoty politycznej (kataklizm) i wreszcie – rzecz jasna - gdy zagrożona jest podmiotowość Republiki.

Naturę polskiej wizji polityczno-prywatnej *beatitudo* dobrze rozumiała oligarchia kwaśnieszczyzny. Zagadkę dlaczego ci sami ludzie, których obecność była nieznośna jeszcze kilka lat wcześniej zostali akceptowani

w nowej sytuacji tłumaczy moim daniem nie tylko sentyment wobec Peerelu (młodości, lodów Kalipso i dużego fiata), czy wzrost poziomu życia pewnej części obywateli (jakże przecież nierównego), ale przekonanie o gwarancjach, jakie nowa sytuacja międzynarodowa tworzyła dla polskiej suwerenności. Kwaśnieszczyznę obaliła konfederacja zwołana po aferze Rywina. Nazbierało się: antysolidarnościowa transformacja, ekscesy oligarchów, kunktatorstwo, zakneblowanie opinii publicznej, pogarda dla sprawiedliwości. Trochę to trwało, ale w pewnym momencie miarka się przebrała i skonfederowane stany powiedziały: dość! A potem – bo taka jest kolej rzeczy – poszły do domu. POPiS się nie udał. PiS (o czym za chwilę) przegrał. Za to nowy sympatyczny administrator został przez większość uznany za zupełnie zadowolającego. A powiedzieć trzeba, że on sam dobrze rozumiał na czym poległ ojcowie III RP. Jego recepta na utrzymanie ludzi w domach widoczna jest jak na dłoni: deficyt gwarantuje względny dostatek, a superata medialnego optymizmu gasi ewentualny niepokój. Aqua parki i Orliki – symbole tej sasko-gierkowskiej bez troski na kredyt – z całą ostentacją prezentowane są jako polityczna (sic!) oferta nowoczesnej formy polskiej prywatności. Od pierwszego „Kochajmy się”, aż do teraz zmieniło się w tej strategii niewiele: obietnica świętego spokoju plus bezgraniczna pogarda dla wicherzycieli (demonizowanych w sposób często przypominających najsmutniejsze praktyki XX wieku). Tyle, że po ostatnich wyborach stwierdzić należy, że trudnej sztuce zarządzania demobilizacją wspólnoty politycznej Donald Tusk przerósł nawet Aleksandra Kwaśniewskiego. Nasuwa się pytanie: jak to możliwe, że krytyczna sytuacja w jakiej znajduje się dziś Polska nie skutkuje zwołaniem konfederacji.

A racje są przecież poważne. Bardzo poważne. Skrajna niepowaga polityki ujawniona w katastrofie i po katastrofie smoleńskiej uzasadnia najpoważniejsze obawy co do stanu państwa, jeśli dodać do tego widoczne gołym okiem: kondycję finansów, uprzedmiotowienie na arenie międzynarodowej, brak strategii w obliczu kryzysu gospodarczego i politycznego Europy, czy choćby uderzającą nieudolność w administrowaniu krajem (patrz: obronność czy bezpośrednio odczuwane jak służba zdrowia, szkolnictwo czy wykolejona kolej) – trudno uwierzyć, że można uznać obecną sytuację za zadowalającą. A jednak.

Dlaczego mimo tak mocnych bodźców Polacy nie opuszczają Sopllicowa? Oczywiście nie można zignorować medialnej dominacji Platformy - jej propagandy sukcesu i umiejętności zwalczania przeciwnika. To jednak uznać to za wyjaśnienie wystarczające. Dlaczego? Platforma dominuje, w mediach – to fakt aż nazbyt widoczny - ale w przeciwieństwie do lat 90 trudno dziś mówić o monopolu informacyjnym. Dzięki Internetowi, mediom toruńskim, Rzeczpospolitej, Uważam Rze, Gazecie Polskiej i pomniejszych trudno uznać, że przyczyną drzemki wspólnoty politycznej jest niedostępność informacji. Trudno też utrzymywać, że diagnozy PiSu w ogóle nie docierają do mediów głównego nurtu. Owszem są poddawane natychmiastowej obróbce i wykoślawieniu, ale przecież docierają. Gdyby chodziło po prostu o brak wiedzy władza Platformy nie przetrwałaby tylu skandali i wpadek, które udało się jej przejść nieomal bez szwanku. To nie są czasy Kwaśniewskiego gdzie o kompromitacjach prezydenta mogliśmy dowiedzieć się najwyżej ze sprostowań (i to tylko czasem). Informacje docierają, a mimo to nie robią wrażenia. Dlaczego? Odpowiedź nie jest z pewnością prosta. Jedno jest pewne. Ten sukces nie byłby możliwy bez PiSu. Wydaje mi

się, że przyjęta przez PiS strategia umożliwia taką interpretację, że informacje i diagnozy stają się w oczach większości Polaków niewiarygodne – a groźba wydaje się mniej straszna i oburzająca od tego kto o niej mówi (jak i od tych, którzy mu wierzą).

Trudno zaprzeczyć, że PiS stanowi dziś rodzaj funkcjonalnego koalicjanta Platformy. Mam na myśli dobrze znany fakt, iż dla bardzo wielu ludzi, to właśnie Prawo i Sprawiedliwość jest główną (jeśli nie wyłączną) racją poparcia władzy - co stanowi ważną przyczynę stabilności rządów Platformy. Jak to się dzieje?

Odwrotnie niż Platforma (oferta niezakłóconej prywatności) PiS podjął próbę zbudowania czegoś, co można nazwać konfederacją w permanencji (wezwanie do nieprzerwanej polityczności). Nie trzeba chyba mówić, że obie są na dłuższą metę nie do utrzymania. Kiedy niezwykle żywiołowa konfederacja, która powstała zaraz po katastrofie smoleńskiej okazała się niezdolna do osiągnięcia politycznych celów PiS zamiast pomóc w jej (czasowym) rozwiązaniu zaczął zwiększać napięcie. Choć konfederacja słabła, liderzy PiS zamiast pozwolić wrócić konfederatom do domu wzmacniali przekaz. Oczywiście odwrot – w takich warunkach - nie byłoby łatwy. Oddajmy PiS sprawiedliwość. Rozwiązanie konfederacji zwołanej w tak fundamentalnej sprawie jak Smoleńsk jest jak zgoda na klęskę. Jeśli dodać do tego polityczny klimat sasko-gierkowskiej Polski, która dziecięcą bez troskę łączy z brutalnymi, ocierającymi się o nihilizm atakami na konfederatów i wszystko, co im drogie, to – można uznać – że rzecz graniczyła z niemożliwością. Inna sprawa czy PiS chciał się z tym zadaniem zmierzyć. Bardzo wątpię. Nieumiejętność rozwiązywania konfederacji, to problem bardzo typowy dla polskiej inteligencji (nie tylko pravicowej dodajmy), która źle znosi stany niższe od wrzenia. Częsty w Polsce konfederacyjny trismus tkwi

korzeniami w starej inteligenckiej tradycji, która z irytacją spogląda zarówno na polskie zamiłowanie do prywatności (bo to płytkie, egoistyczne i jałowe) jak i na pulsacyjną naturę polskiego zaangażowania (patrz: Norwid, Brzozowski, Miłosz itd., itp.). Ale, że nie mówimy tu o marzeniach lecz o skuteczności – pamiętać należy, że po to by zwołać konfederację trzeba najpierw rozpuścić do domu poprzednią. I to zarówno wtedy gdy udało się osiągnąć pożądane cele jak i wtedy gdy poniosło się porażkę.

PiS choć odrzuca tezę o swojej przeciwności dobrze przecież czuje swoją niezdolność do zwołania nowej konfederacji. Zaciekle walki o sznur po złotym rogu (Kaczyński-Ziobro) są w oczywisty sposób sporami o przywództwo w topniejącej (choć ciągle przecież ogromnej) konfederacji, nie zaś o to kto będzie liderem Wielkiej Zmiany. Może dlatego z ust sympatyzujących z PiSem komentatorów słychać tęsknotę za katastrofą gospodarczą, która wreszcie zaktywizuje Polaków i odwoła nieudolną i niepodmiotową władzę. To płonne nadzieje. Nie dlatego, że Polacy pozostaną obojętni wobec nadciągającego kryzysu, ale dlatego, że fala, która – na co wiele wskazuje – niebawem nadejdzie, może zmieść wszystko. Jak tsunami. Włącznie z PiSem.

Ale jest jeszcze inne zagrożenie, które niesie przyjęty obecnie przez PiS model prawicowości pojętej jako konfederacja w permanencji. I nie chodzi mi tylko o problem dla PiSu (przegrana w kolejnych wyborach), ale o sprawę znacznie poważniejszą - problem dla prawicowości i dla republikanizmu, które stały się zakładnikami obecnej sytuacji. W namiotach konfederacji można przeżyć jedną zimę, na stałe mieszkać w nich mogą tylko dobrowolni emigranci ze świata przez większość uważanego za krainę zdrowego rozsądku (mówię o wrażeniu nie o racji). Stała mobilizacja nie może być formą polityki – do tego trzeba

zupełnie innych instytucjonalnych form – a na te jak widać pomysłu brak. Dlatego konfederacja nawet jeśli zwołana w najszczerzych republikańskich intencjach po zbyt długim czasie nabiera rysów antyrepublikańskich – staje się ekskluzywistyczna i reaktywna tracąc zdolność pozyskiwania sojuszników i współpracy dla dobra wspólnego.

Mechanizm jest dobrze znany i dotyczy wielu podobnych przypadków. Ryzyko demobilizacji sprawia, że konfederaci zmuszeni są stale zwiększać temperaturę spajających ich wspólnotę emocji. Warto spojrzeć na życzliwe PiS portale. Czytając teksty i komentarze widzimy atmosferę, która wytwarza coś w rodzaju sytuacji insurekcyjnej bez insurekcji. Sprzyja to militaryzacji ruchu, a więc zgodzie na hierarchię, posłuszeństwo i ogólny wzrost dyscypliny. Ponieważ walka wymaga czytelnych definicji tego, co prawowierne więc bardzo wzmaga się potrzeba autorytetu (istnienia centrum definiującego aktualną wykładnię *credo*). Uderza jak często redaktorzy i blogerzy dyskutują przypadki odstępstw i zdrady. Panuje zgoda, że dyskusje, różnice zdań, niejednoznaczne analizy nie służą dobrze ruchowi (muzy milczą), a nadmierna krytyka jest dowodem nieodpowiedzialności jeśli nie odstępstwa (Czy wolno osłabiać atakowanych?). Z upływem czasu argumentacja nie staje się wcale mniej gorąca - dużo chętniej korzysta z kryteriów moralnych i estetycznych niż z politycznej kalkulacją (co zresztą nie jest w Polsce jakąś specjalnością sympatyków PiSu). Oceny poruszają się po skrajnych rejestrach skali rzadko korzystając ze stopni pośrednich, a autorzy bez zbędnych ceregieli sięgają po najsurowsze oskarżenia (wróg niepodległości, to nic nadzwyczajnego). Patos i sarkazm, ironia i podziw, oburzenie i zachwyty – to język powszedni. Lista tematów – co zresztą niezwykle smutne – jest wybitnie reaktywna. Znacznie częściej niż o sprawach i wartościach drogich konfederatom uwagę zaprzętają przeciwnicy, ich tematy, zachowania i wartości. Zręcznie organizowane prowokacje (bo przeciwnicy są

oczywiście zainteresowani trwaniem konfederacji w takiej właśnie formie) sprawiają, że ogromnym zagrożeniem dla konfederatów staje się duch negacji konstytuujący wspólnotę zaprzeczenia w miejsce dawnej wspólnoty wartości.

Konfederacja, która miała służyć przywróceniu ładu – trwając zbyt długo izoluje się od całości i zamiast spajać popsutą republikę zaczyna po pierwsze kierować się przeciw państwu i po drugie utrwałać i pogłębiać podział wspólnoty politycznej. Insurekcyjny duch konfederacji (w ramach pewnej dynamiki uogólniania celów) przyczynia się do budowy klimatu delegitymizacji instytucji państwa (co dla republikanina stanowić musi horror). Przypominanie o różnicy między urzędami i instytucjami a (nielubianymi czy pogardzanymi) osobami wywołuje rosnący opór konfederatów. Słuszne często emocje przenoszone są z osób na instytucje niepodległego państwa. Złe zaczyna być państwo, którym władają przeciwnicy, a zdrajcami ci którzy wstrzymują się przed gestem potępienia nie mówiąc o tych, którzy uznają jego wartość i prawomocność. Jednocześnie, to samo co mobilizuje stronników (eskalacja bodźców) coraz silniej oddziela od reszty wspólnoty politycznej zniechęcając ewentualnych sprzymierzeńców. Ten sam mechanizm, który czyni konfederację antyrepublikańską odbiera jej wiarygodność - czyniąc niezdolną do przekonywania do swoich racji. Funkcjonalna koalicja działa nie tylko w porządku uzasadniania (czy raczej braku konieczności uzasadniania) działań obecnej władzy. Przyjęty sposób postępowania skutecznie usypia potencjalnych konfederatów. Inflacja superlatiwu sprawia, że ludzie spoza grupy nie traktują tych wezwań poważnie. Pozbawiony modulacji, zawsze ten sam alarmistyczny ton zabija poczucie pilności zmiany. Kto stale krzyczy „ratunku” nie zdoła wezwać pomocy.

Konfederacja jako sposób życia staje się antyrepublikańska, ponieważ jej aktywność z konieczności koncentrować się musi na wzmacnianiu więzów wewnętrznych i pogłębianiu uzasadniających trwanie podziałów. Dlaczego to antyrepublikańskie? Nawet jeśli teza o zasadniczych różnicach w łonie polskiej wspólnoty jest prawdziwa (Rymkiewicza dwa narody), a sądzę, że jest pod wieloma względami trafna, to celem konserwatysty i republikanina jest budowanie jedności, a nie pogłębianie przepaści, której nie da się już przekroczyć (nie mówiąc o podważaniu autorytetu państwa). Permanentna czy przewlekła konfederacja zamiast pozostać zwołaną *ad hoc* grupą obywateli zebranych po to, aby rozwiązać bolesny problem całej wspólnoty – partykularyzuje się stając się z czasem osobną wspólnotą, kulturą czy narodem.

Jeśli mechanizm ten nie musi martwić lewicowca czy postmodernisty, to dla konserwatysty i republikanina jest porażką zasadniczej idei, która kazała mu wziąć udział w konfederacji. Republikanin nie może tracić z oczu perspektywy całości. Trybalizacja republikanizmu jest jego przegraną – zgodą na przyjęcie modelu postmodernistycznej polityczności – którą wszak zwalcza. Może dlatego na polskiej prawicy tak dobrze czują się dziś byli postmoderniści, którzy w modelu my-oni odnajdują swoje dawne fascynacje buntem, kontrkulturą, krytyką państwa narodowego i jego instytucji oraz wizją wieloplemiennych społeczeństw. Republikanizm godzący się na pozycję zamkniętej grupy przestaje być sobą: prawicowość przeradza się w prawactwo. Ale to już temat na inny tekst.

Dariusz Karłowicz

Rzeczpospolita, Plus/Minus, 24 grudnia 2011

Przeczytaj polemikę Jacka Karnowskiego